**Dzisiaj kolejne spotkanie z panią Elżbietą Schmidt, mościczanką z wyboru i trochę ze zrządzenia losu. Jakie to zrządzenie losu, o tym za chwilę w rozmowie. Pani Ela jest osobą, która na co dzień i od święta docenia piękno i wyjątkowość Mościc. Utrwala to na tysiącach wspaniałych fotografii, które zamieszcza na swoim blogu.**

**Monika Faron: Dzień dobry pani Elżbieto.**

Elżbieta Schmidt: Witam serdecznie. Bardzo mi miło, że zostałam wyróżniona i mogę się wypowiedzieć o Mościcach jako wspaniałym miejscu do zamieszkania i życia. Potwierdza to moje prawie 60-letnie przebywanie tutaj.

**MF: Pani Elżbieto, jak to się zaczęło? Jakie zrządzenie losu sprowadziło panią do Mościc?**

ES: w moim przypadku było to tak: poznałem mojego przyszłego męża, który dostał nakaz pracy właśnie w Mościcach. No i był problem: ja mieszkałam wówczas na Śląsku, konkretnie w Bytomiu i odległość była jednak ogromną przeszkodą w podtrzymywaniu znajomości. W tamtych czasach nie było nawet wolnych sobót, nieczęsto się widywaliśmy, więc postanowiliśmy skrócić okres narzeczeński. Po niecałym roku zostałam mieszkanką Mościc, jako małżonka Bernarda Schmidta. Do dziś jestem szczęśliwa, że ten wybór padł właśnie na Mościce. Ktoś kto nie zna tego małego osiedla nie uwierzy, że tu się tak niewiarygodnie spokojnie, bezpiecznie i tak pewnie mieszka. Z widzenia znamy się prawie wszyscy i nigdy człowiek nie jest sam. Wychodząc na ulicę, do sklepu, nie trzeba się obawiać, że „Ach skręcę kostkę i co to będzie ze mną”. Tu od razu podbiegnie z pomocą dziesięć osób i wśród dziesięciu pięć powie: „A, to przecież Schmidtowa! Odprowadzimy ją do domu”. (śmiech redaktorki w tle). To jest niesamowity komfort. Mimo bliskiego sąsiedztwa zakładów, zieleń w Mościcach odżywa w sposób nieprawdopodobny i jest jej dużo. Myślę, że ci którzy projektowali przed laty to osiedle, świadomie mieli na uwadze to, by przestrzeń między blokami była tak duża, żeby czuć się to po prostu komfortowo. Nikt nikomu nie zagląda w okna, dzieli nas las drzew, między jednym a drugim blokiem. Przy ulicy Kasztanowej, gdzie są tak zwane podkowy (przyp. red. bloki na takim planie). Tam są zbudowane bloki, które nie mają strychu, ani balkonu. Dla ich mieszkańców jest to w pewnej mierze utrudnienie. Ale z drugiej strony, pomiędzy drzewami wiszą całe sznury prania, wietrzącej się pościeli, wyprane zabawki. Mam zdjęcia, kiedy kwitną na biało mirabelki a w tle powiewają śnieżnobiałe firany i opierają się o zieloną już trawę. To są naprawdę niespotykane dzisiaj widoki… takich rzeczy się już nie widzi. A przecież to jest jednak miasto, my jesteśmy administracyjnie Tarnowem. Aczkolwiek zawsze pretendujemy do tego, że jesteśmy z Mościc. Na przykład, jak mają do załatwienia w szpitalu, czy w jakimś urzędzie sprawę to mówią: „Jadę do miasta”. Czyli nie jesteśmy w mieście, my jedziemy dopiero do miasta… Rzeczywiście ta odległość jest spora tak 4 do 5 km, zależy do jakiego punktu docieramy, ale to właśnie jest dowodem na to że my czujemy swoją odrębność. Jesteśmy z Mościc i basta. To jest nasza duma i chluba.

MF: Możemy wrócić do początku pani bytności w Mościcach?

ES: Pierwsze mieszkanie dostaliśmy na ulicy wówczas Zawadzkiego, dziś Księdza Indyka na czwartym piętrze. To był tylko pokój z kuchnią, ale było nam tam naprawdę wspaniale. Po dwóch latach urodził się pierwszy syn i już nie było wspaniale, bo musiałam idąc na spacer z dzieckiem, szczególnie na przykład w zimie, musiałam znieść z góry: sanki, kocyk na sanki, ubrane dziecko i ubraną siebie. Po spacerze i zakupach musiałam w tej kolejności to wynieść do góry. Proszę mi wierzyć, że to było bardzo trudne zadanie, wytrzymałam tak 2 lata. Po dwóch latach mąż złożył podanie i znalazło się wolne mieszkanie. Pracownicy biura projektów, państwo Witkowiccy, opuścili właśnie lokum, które w tej chwili zajmujemy. No i to już były dwa pokoje, dość obszerne, tak że w jednym chowali się synowie, drugi zajmowaliśmy my. Moja dzieci bezpiecznie bawiły się w piaskownicy, bądź na lodowisku. Lodowisko było robione przez Ochotniczą Straż Pożarną. Przyjeżdżała wieczorami, najpierw zrobili wylewkę na części podwórka (ale to nie tutaj, tylko przy Akacjowej, dwa bloki dalej w kierunku zakładów). Tam dzieci się spotykały na lodowisku. To była naprawdę frajda. Dziś lodowisko jest profesjonalne, obok Domu Sportu prawda, wtedy to była raptem namiastka ale ile dzieci się nauczyło się jeździć i spędzały czas we własnym gronie, to się liczy.

Pamiętam jeszcze jedną rzecz. Młode mamy z wózkami, upodobały sobie chodzenie wokół takiego okrągłego klombu, który dzisiaj już nie istnieje, przy pałacyku (inaczej zwanego Willą Kwiatkowskiego) w parku. Tam był taki fajny okrągły klomb i tak się właśnie z wózeczkiem chodziło i były przy nim ławeczki. To jest bodaj w miejscu, gdzie dziś stoi fontanna, tak mi się wydaje. Tak to kojarzę. Wszystkie mamy, które były na wychowawczym, czy coś takiego, to umawiały się we trzy, cztery i jeździłyśmy obłąkańczo wokół tego klombu, żeby one czym prędzej zasnęły a my żebyśmy miały te 5 minut dla siebie… No przecież wiadomo, jak jest przy małych dzieciach.

**MF: Proszę powiedzieć, jak to było? Czy pani się czuła od razu dobrze przyjęta, jako ta dziewczyna ze Śląska? Nie było tutaj najmniejszych problemów?**

ES: Wiele osób było w podobnej sytuacji jak ja. To pokolenie właśnie przybyło do Mościc w pewnym momencie. Myśmy siebie nawzajem potrzebowali. Dzieci chodziły razem do szkoły. Jak któregoś nie było w szkole, to trzeba było zeszyt zanieść żeby lekcje odpisać, żeby opowiedzieć co się tam w szkole działo. Nawet były jakieś tam wspólne urodziny obchodzone. Ani przez chwilę nie poczułam, że jestem niepożądana, że jestem kimś obcym. Absolutnie nie! Poza tym ja jestem bardzo otwarta na ludzi i z zasady daję im tak ogromny kredyt zaufania. Wierzę, że każdy jest dobry. Brakowało mi tylko przyjaciół, których zostawiłem na Śląsku. Bardzo mi tego brakowało, bo wtedy nie było komórek żeby można było dzwonić w chwili tęsknoty. Mieliśmy w domu (mąż jako pracownik awaryjny, to osiedle było traktowane jako awaryjne) służbowy telefon od samego początku. I na początku to było tak, że Zakłady płaciły za te telefony. I ludzie tego tak nadużywali masakrycznie, po prostu rachunki były niebywałe. No i potem zakłady zaproponowały, żeby selekcjonować te rozmowy. Za zakładowe zakład zapłaci, a potem nie. Potem te telefony zrobiły się prywatnymi. W międzyczasie, ja już nie miałam tak wielkiej potrzeby dzwonienia, bo tu nawiązałam znajomości. I przeszczęśliwie się złożyło, powiem że to był fart od Boga. Za ścianą, po przeciwnej stronie korytarza mieszkały dwie panie, w moim wieku. Nie miały rodzin. Jedna pracowała w technikum zakładowym (przypis redakcyjny - technikum chemicznym), bo teraz to się chyba inaczej zwie, ale wtedy popularnie nazywano technikum zakładowym, bo przygotowano tam kadry ze średnim wykształceniem dla zakładów. Janina Plichta, po UJ-ocie, miała status bardzo dobrej polonistki. Nawet w mieście o niej mówiono, że jest konkurencyjna. Poznałam grono nauczycielskie z racji tego, że moje właśnie moje sąsiadki obchodzimy zawsze bardzo wystawnie swoje imieniny. Jedna pracowała w szkolnictwie i druga też.

**MF: Ale czemu pani mówi, że miała szczęście?**

ES: Bo to jest niebywale szczęście. To były osoby bardzo kulturalne, powściągliwe, zainteresowane absolutnie życiem zewnętrznym, sztuką, książkami - z racji pełnionego zawodu. Zakłady często organizowały wycieczki na spektakle do teatru w Krakowie. To przecież był mój żywioł! Ja się do nich podpinałam i jeździłyśmy do Krakowa. Potem żeśmy w domu to omawiały. Po prostu zaprzyjaźniłam się z nimi na śmierć i życie.

Powiem szczerze, że szybko zawsze swoją pracę domową wypełnić, żeby było ugotowane, pozmywane po obiedzie i tak dalej. Potem tylko czekałam na sygnał, kiedy mogę do nich iść. Ja tam spędzałam więcej czasu niż u siebie w domu! Mąż to w pełni akceptował, bo bardzo je lubił, bardzo je cenił, szanował.

To były czasy, kiedy były organizowane imprezy w Centrum Sztuki, jakoś zwane Popołudniowa Herbatka… już dokładnie nie pomnę. Mąż kiedyś był z synem na spacerze i przyszedł go zostawić, bo chciał podejść i zobaczyć konkurs w domu kultury. Były na kartkach pytania, które się wyciągało z kapelusza i było jury, dość profesjonalne. No więc mąż, tak z głupia postanowił zagrać. Wyciągnął jedno z pytań, które dotyczyło twórczości Dostojewskiego, i coś na temat muzyki Wagnera. Mąż był fanem muzyki klasycznej. Po kilkunastu dźwiękach rozpoznał utwór. Odpowiedział śpiewająco na jedno i drugie pytanie do tego stopnia, że ta historia została opublikowana w czasopiśmie „Przyjaciółka”. Na dwie strony! Sąsiadka była w jury wtedy i przyszła potem pogratulować wiedzy i mądrości. To był początek naszej głębokiej przyjaźni. Zakłady w nagrodę dały nam rodzinny wyjazd do Czarnego Potoku, do apartamentu D - to był tak zwany dyrektorski apartament. Sami byśmy sobie nie pozwolili na takie luksusy, na owe czasy to były luksusy.

**MF: Które to były lata?**

ES: Siedemdziesiąte, początek siedemdziesiątych. Poza tym, Zakłady Azotowe miały jakąś umowę z sanatorium w Dusznikach, bo tam krystaliczne powietrze, bo się okazało że to jest zbawienne. I dawały swoim pracownikom zatrudnionym w pierwszej grupie (najbardziej narażonym na kontakty z materiałami chemicznym) takie dodatkowe pobyty na L4, trzytygodniowe właśnie w Dusznikach. Mój mąż w takiej grupie pracował i z tych Dusznikach był bodaj cztery, pięć razy. To też jest taki cenny gest ze strony zakładów, że dbały o pracowników.

**MF: Czym zajmował się pani mąż?**

ES: Mąż skończył Politechnikę Wrocławską, wydział chemii i zrobił jeszcze taki roczny kurs automatyki. Pracował cały czas praktycznie jako automatyk na wydziale PCW (polichlorku winylu). W pracy był ceniony dlatego, że był szalenie życzliwym człowiekiem. Ja przejęłam po nim schedę związkową. Należę ciągle do koła związkowego emerytów pracowników zakładu i do dziś osoby które były pracownikami mojego męża do dziś z rozrzewnieniem wprost wspominają czasy wspólnej pracy. Po prostu wiem, że mieli tą świadomość że mąż nawet narażając się na różne konsekwencje, był w stanie zawalczyć o nich. Wielu ludziom pomógł. Co dziwne, bo nie był nigdy członkiem partii. To było tamtych czasach ewenementem. Nieustannie podsuwano mu deklarację (nawet sam dyrektor Opałko prosił go osobiście: panie Bernardzie, przecież to panu jednak ułatwi karierę zawodową jeżeli pan się zapisze). A mąż miął tylko jedną odpowiedź: „Żona mi nie pozwala”. I na tym się skończyło. Byłam z tego powodu ogromnie dumna, dlatego że wszystko co zdobył w pracy, zdobył swoją własną pracą. Zyskał dzięki temu co robił, a nie dzięki temu kim był w zakładzie. Zawsze trzymał się na uboczu, nigdzie się tam nie wyrywał niezapraszany.

W tamtych latach nie kładło się takiego ogromnego nacisku na znajomość języków i niewiele osób rzeczywiście dobrze znało języki. Zakłady azotowe współpracowały, w pierwszej kolejności z najbliższym naszym sąsiadem – z Niemcami. Od nich czerpali różne technologie, urządzenia i tak dalej. Były powody do częstego wyjazdu na delegacje i to nie tylko do NRD, ale do RFN! W ten bajkowy, cudowny świat, prawdziwą zagranicę. Mój mąż urodził się jako obywatel niemiecki, w Rosenbergu, to jest dzisiejsze Olesno Śląskie. To były wtedy tereny niemieckie, więc siłą rzeczy był Niemcem, nawet po metryce. Po 45 roku te ziemie zostały oddane Polsce i wszyscy obywatele tych ziem mieli prawo z całym dobytkiem wyjechać do Niemiec. Rodzina nasza została. Cała.

Mąż nie pozbył się nigdy do końca śląskiego akcentu, zawsze mówił z tym akcentem, ale znał też język niemiecki! Podejrzewam, że śnił po niemiecku. I tu się otworzyła dla niego duża furtka. Uczestniczył we wszystkich wyjazdach. Dyrektorzy, czy ekipy jakieś - ktokolwiek miał potrzebę jeździł z nimi. Potrafił załatwić lepszy hotel, lepszy pokój, umiał zamówić odpowiednie jedzenie, popołudniowe rozrywki, wiedział gdzie zaprowadzić, zwłaszcza jak kupił przewodnik po danym mieście i prowadził uczestnicy do jakiejś katedry bądź innego zabytkowego miejsca.

Jak w Krynicy były europejskie sympozja, to mąż pełnił nawet rolę tłumacza kabinowego. Dzięki tej jego umiejętności moje dzieci, jako jedne z nielicznych, poznały smak kiwi (u nas to było bardzo trudno osiągalne, nikt o tym nie słyszał).

**MF: Teraz powróciłabym do młodych lat i początku rodzinnego życia w Mościcach. Chciałam zapytać o rozrywki.**

ES: Wchodziliśmy w miarę możliwości. U mnie to było dosyć trudne, bo ja syn miał 10 lat to urodził się młodszy, więc ciągle ta moja obecność w domu była potrzebna. Nie mogłam aż tak często wyskakiwać sobie sama, bo bez męża, to głupio. Miałam świadomość, że każdy mąż przyjdzie ze swoją żoną, grzecznościowo ze mną raz zatańczy, a potem co? Na takie imprezy chodziło się zazwyczaj parami.

Wychodziliśmy koło kasyna, była tam muszla koncertowa. O! Tam było fajnie… Jakiś zespoły grały, wszyscy siadali na wystawionych tam ławeczkach w rzędzie albo wręcz na trawie. Panowie opierali się drzewo, odbijali jakieś wino (mówiło się na nie „patykiem pisane”), robili ich kilka, jakby się to dzisiaj powiedziało i było strasznie wesoło. Tańczyło się najpierw na tych deskach, wszyscy tam tańczyli. Patrząc na to teraz okiem bardziej fotograficznym, to widzę to jako taki talerzyk cieni… No, ale wtedy mniej zdjęć robiłam, bo nie było cyfrówek, oszczędzało się te klatki, prawda. No więc nikomu nie przychodziło do głowy żeby zdjęcia nocne robić bez statywu, bez lampy błyskowej.

No ale przede wszystkim, były te wyjazdy do teatru. To rozbudowało bardzo nasze życie kulturalne. A tu? Podobało mi się, że do domu kultury ściągano bardzo wielu wykonawców, o dużej renomie. Zawsze sala była pełna. Dlaczego? Bo część ludzi nabywała bilety drogą oficjalną, część miała jakieś tam dopłaty. Poza tym wtedy kultura była tania. Bajecznie tanie były seanse kinowe, więc można było do kina naprawdę chodzić często. No biblioteka zawsze była znakomicie zaopatrzona. Można było wybrać sobie lekturę dowolną a ponadto książki były tanie, więc jak ktoś coś bardzo chciał, to szedł do księgarni sobie po prostu kupował… Nie wiem… Czy wszystko było tańsze?

**MF: Chyba tak! (wspólny śmiech). Chociaż się miliony zarabiało…**

ES: Miliony, oczywiście! To mieszkanie kupowaliśmy od zakładów jeszcze za miliony. Dzisiaj mogę się szczycić w jakim to apartamencie mieszkam, bo kosztował miliony.

**MF: A działki?**

ES: Była działkowiczką przez wiele lat, miałam działkę w sektorze A. Uprawialiśmy ją z mężem z bardzo marnym skutkiem. Nie znaliśmy się na tym, nie umieliśmy wbić nawet szpadla w ziemię. Ale powiem, że w tamtych czasach kilka działek dalej miałam fantastyczne sąsiedztwo. Niebywałe. To nazwisko już pewnie sto razy padło w różnych rozmowach - państwa Kozubów. Pani Maria była osobą wszechstronną. Ona po cebulce poznawała, jaka to rozsada. Właściwie to ja przechodziłam na działkę po to, żeby z nią pogadać. Czytała mi swoje wiersze i przede wszystkim opowiadała, opowiadała, opowiadała... Miała czworo dzieci, więc to też jest dość istotne, że była obarczona obowiązkami. Powadziła tak zwany otwarty dom. Kto chciał się nauczyć haftu, kto chciał się wypłakać, kto chciał zaczerpnąć życiowych mądrych porad. Przyjmowała wszystkich, dla wszystkich miała otwarte serce. Podziwiałam ją. Nie wiedziałam jak to godzi. Była takim punktem odniesienia ile w życiu można, jak tylko się chce. No ale jeszcze Bozia musiała dać talent, bo ona miała go bezapelacyjnie. Wszystko miała, wszystko wiedziała, wszystkiemu umiała zaradzić. Haft klockowy uprawiała, haft richelieu, haft krzyżykowy… Wszystkie możliwe rodzaje. Haftowała swój ogródek – to co urosło, zakwitło. Kwiaty przynosiła na różnego rodzaju serwetki, makatki. To był fantastyczne. Zawsze uśmiechnięta i nigdy słowa narzekania. No więc jej postawa życiowa była naprawdę godna naśladowania. Jestem szczęśliwa że znałam taką osobę, bardzo wzbogaciła moje życie w wielu aspektach. Jestem jej za to ogromnie wdzięczna gdziekolwiek teraz jest a przypuszczam że na poczesnym miejscu u pana Boga na podnóżku gdzieś tam siedzi.

**MF: Pani Elżbieto, jest pani taką osobą można powiedzieć do tańca i do różańca, więc teraz o tym różańcu. Mówiła pani o tej ważnej roli kościoła.**

ES: Tak. Powiem pani, bo to mi naprawdę imponuje. Jak przypominam sobie takie początki w Mościcach, to był tutaj na parafii proboszczem ksiądz Jan Rec. Szczupły, zawsze przesadnie skromnie ubrany, wyświechtana wręcz ta jego sutanna była. Wielokrotnie dostawał od parafian w prezencie na przykład kupony, żeby sobie uszył to on zawsze lądował u jakiegoś kleryka, a on mówił, że jego ubranie jest jeszcze dobre. Zawsze był ogromnie życzliwy, był po prostu księdzem z powołania. Można się było do niego zwrócić z osobistymi problemami. Rozpatrywał je po ludzku, jak człowiek, niekoniecznie z pozycji księdza. Zawsze umiał coś doradzić i zawsze to wychodziło na dobre. To był okres wspomagania Polski darami z zagranicy. Otrzymywały je kościoły, więc jakoś to w miarę sprawiedliwie dzielił. Myślę że każdy w parafian, na pewno Ci biedniejsi więcej a Ci inni choć trochę, ale żeby się nikt nie czuł wyłączony z tego. Jestem pełna szacunku dla niego. Nie znałam jego poprzednika Księdza Indyka, o którym też to bardzo chwalebne zdania, bo był takim tutaj motorem budowy tego kościoła. Księdza Reca wspominam z rozrzewnieniem i wielką sympatią.

**MF: Słyszałam takie historie, że ksiądz potrafił zorganizować spod ziemi jakieś na przykład lekarstwo, które nie było dostępne i zawoził je po prostu do kogoś…**

ES: Tak, zgadza się. Mówi się, że są lekarze z powołania, to on był księdzem z autentycznego powołania. On wiedział, że praca księdza, to jest służba Bogu i ludziom. On to całym sobą reprezentował. On zawsze miał czas, w nocy i w dzień. Wszyscy parafianie mają na jego temat takie zdanie. Nie słyszałam żeby ktoś mu uchybił w czymkolwiek.

Mam potrzebę, naprawdę wielką by wspomnieć tutaj (nie jest może taka najdawniejsza historia, ale warta uwagi) o pani doktor Rafińskiej. Myślę, że jej nazwisko już mogło paść w różnych rozmowach, bo to jest pani doktor, która ma większe niż ona sama. Pani doktor Rafińska była lekarzem zakładowym, ale wciąż pracuje (teraz jakoś na pół etatu). Leczyła większość ludzi Mościckich. Przyjmowała zawsze u siebie w gabinecie. Mieszkała w tym bloku, gdzie pani Kozubowa. Pani Rafińska nigdy nie odmówiła przyjścia. Nawet w piżamie i narzuconym na to prochowcu, gdy była pilna potrzeba do dziecka (nie była pediatrą) i wiedziała, że to jest jedyne wyjście na przykład. Nikomu niczego nigdy nie odmówiła. Zawsze doskonale doradziła. Moim zdaniem była i jest świetnym diagnostą. Wyleczyła na pewno setki ludzi. Nie krygowała się, że nie może wydać recepty albo zlecić badania. Wszystko było dla pacjenta. Mam ogrom uznania dla pani doktor, bo była na każde zawołanie, a przecież miała swoją rodzinę. Troje dzieci wychowała i umiała to wszystko jakoś pogodzić. Miała ogromne serce szczególnie dla osób starszych. Czuło się i widziało, że ona chciała im podarować jeszcze kolejny dzień i miesiąc. Chciała autentycznie. I często jej się to udawało.

Pani doktor mieszkała tutaj z rodziną z dużym bloku, więc wiele osób je jeszcze z tego okresu pamięta. Po prostu była lekarzem bez granic, autentycznym.

**MF: Jakbyśmy zakończyły pani wspomnienia o życiu tutaj, w Mościcach?**

ES: Nie wybrałabym innego miejsca. Znam dużo miejsc, nie tylko w Polsce, bo był czas że myśmy dość dużo podróżowali z mężem. Europę trochę znamy i wschód i zachód… Poza Mościcami to bym może jeszcze wybrała Wenecję, ale tam bym się szybciej rozłożyła na części pierwsze, z uwagi na warunki (śmiech). Więc lepsze są jednak Mościce. Zdecydowanie!